

## 8. NOWY ORFEUSZ

Z samego rana, po kąpieli bladym świtem w towarzystwie Mariny, poszłam po pomoc do Villi Silence. Doktor Weir właśnie szykował się do wyjazdu do szpitala. Mitygując się, że przeszkadzam o tak wczesnej porze – ale że sprawa jest na tyle poważna, że odbiera mi sen i spokój – poprosiłam go o radę w kwestii podrzuconego mi tekstu w nieznanym języku. Podałam mu wykaligrafowaną dziwnymi literami kartkę. Przyjrzał jej się poważnie, obracając w palcach.

- To jest po rosyjsku, Mademoiselle Daaé – powiedział z przekonaniem. - Tu może pani pomóc tylko kapitan.

- Kapitan? – zapytałam niepewnie, myśląc o tej pocztówce, którą podarował mi na cmentarzu.

- Ma na imię Jan, jest Polakiem – powiedział Robert. - Urodził się w kraju, którego od stu lat nie ma na mapach Europy, gdzieś pomiędzy Imperium Rosyjskim a Cesarstwem Niemieckim. W dawno zubożałej rodzinie szlacheckiej, z winy kaprysu losu zamieszkałej częściowo po jednej, a częściowo po drugiej stronie granicy. Studiował literaturę w Petersburgu, mieszkając u wujostwa. Marzył o tym, by zostać poetą, tłumaczył dzieła Aleksandra Puszkina: *Eugeniusza Oniegina* i *Damę Pikową*. Był również patriotą, jak wielu jego kolegów, chciał walczyć za ojczyznę. Przesiedział w rosyjskim więzieniu trzy lata. Wrócił do rodziców, za pruską granicę, w 1866. Zaraz wcielono go do wojska; ponieważ był ambitny – a może łudził się, że praktyka wojskowa pomoże mu jeszcze kiedyś stanąć do walki z zaborcami - dopracował się nawet stopnia kapitana pruskiej armii. Potem przyszła wojna z Francją. I ta straszna data: 1 września 1870. Pod Sedanem francuski pocisk urwał mu pół głowy.

Spojrzałam na Roberta Weira z przerażeniem. Jak to urwał pół głowy? – pomyślałam. Przecież nie da się żyć bez połowy głowy!

- Nie ma w tym wielkiej przesady – podjął doktor, widząc moje wielkie oczy. - Oskalpowana głowa, cała skóra z włosami zerwana jak wełniana czapka. Ziejąca wyrwa w kości czaszki z prawej strony, zniszczone prawe oko, cały nos, policzek, górna warga. To cud, że przeżył, chociaż on bardzo długo nie uważał tego za cud... Nosi teraz na głowie coś w rodzaju hełmu albo dopasowanego kasku z metalu, dla ochrony niemal nagiego mózgu. Pomalowaliśmy mu to w szpitalu na jasny kolor, żeby trochę mniej raziło. Ale tak naprawdę, na to nie da się patrzeć. Ja musiałem, bo jestem lekarzem. Bo złożyłem przysięgę Hipokratesa, że będę chronił ludzkie życie. Nawet wtedy, gdy pacjent nie chce dalej żyć. On miał dwadzieścia siedem lat, kiedy to się wydarzyło. Był w moim wieku...

Kiedy doktor Weir to mówił, zrobiło mi się strasznie wstyd za moje idiotyczne skrupuły z tą nieszczęsną blizną na policzku. Za te bandaże na pół głowy, za woalki i szale motane na kapeluszu. Czym była taka blizna wobec tragedii kogoś, kto stracił pół głowy... Co Robert musiał sobie o mnie pomyśleć? Pusta, głupia gąska! Boże święty, jaki wstyd...

- Czy on wtedy... był przytomny? – zapytałam słabo.

- Na domiar jego nieszczęścia, dość szybko okazało się, że obrażenia są głównie zewnętrzne, że - o dziwo - jego mózg nie został aż tak bardzo uszkodzony, jak wskazywałyby na to te rany. Długo nic nie mówił, nie rozpoznawał ludzi, ale stopniowo to wróciło.

Pomyślałam, że pewnie biedny kapitan wcale się z tego nie cieszył...

- Czy ktoś był przy nim? Czy ktoś go odwiedzał?

- Napisał kiedyś list do swojego kraju, do kobiety, którą kochał. Przyjechała tutaj raz, a potem to ona przysłała list. Powiedział mi, że napisała do niego tak, jakby pisała do umarłego; jakby on już dla niej umarł. Dość często przyjeżdża do nas jego młodsza siostra Anna mieszkająca w Paryżu; to jedyna osoba, która go odwiedza - ale ona też jest lekarką. I też jest sama. Podobno przeżyła jakąś tragedię, chyba straciła dziecko. Może trzeba w życiu przeżyć coś takiego, żeby zrozumieć cierpienie innych, nawet bliskiego człowieka. Tamta druga dziewczyna tego nie umiała, trudno ją nawet za to winić. – Popatrzył na mnie bardzo poważnie. - Nigdy nie należy żądać od ludzi bohaterstwa, Mademoiselle Daaé... To coś, co każdy może tylko sam starać się w sobie odszukać. Nie każdemu jest to dane i nie wolno nam od nikogo wymagać tego na siłę. Kiedy jednak spotka się prawdziwego bohatera, trzeba okazać mu szacunek.

Oczywiście, on chyba mówiąc to pomyślał o czymś zupełnie innym niż ja. Bez dyskusji zgodziłam się udać po pomoc do kapitana Jana, zapominając o swym wcześniejszym lęku przed placówkami medycznymi. Prosto po śniadaniu pojechaliśmy do Lannion do szpitala, mieszczącego się w przebudowanym starym klasztorze Urszulanek.

Mogłam być pewna jednego - doktor Robert Weir był prawdziwym bohaterem, nowoczesnym Pigmalionem. Prowadził eksperymenty nad nowymi metodami terapii; podobno używał fragmentów kości mostka wziętych od kaczek do rekonstrukcji nosów żołnierzy, urwanych im przez pociski w czasie wojny francusko-pruskiej. Wszędzie w szpitalu widziałam ludzi, którym pomógł. Widziałam tych, którym uratował życie i takich, których przywrócił normalnemu życiu. Oprócz pracy w szpitalu prowadził wykłady i badania na Akademii w Paryżu, gdzie poznał Artura, a przez niego Leonorę. Pieszczotliwie nazywał ją swoją Galateą – chyba wyłącznie z uwagi na jej delikatną, mlecznobiałą cerę. Leonora Bernard nie była piękna – była na to trochę za bardzo podobna do swojej matki – ale ładna, subtelna i pełna naturalnej słodyczy. Dla Roberta była natchnieniem, wystarczyło na nich spojrzeć.

Szliśmy pod arkadami o półkolistych łukach, umieszczonymi wokół wewnętrznego dziedzińca dawnego klasztoru, ozdobionego ciętymi z bukszpanu kulami. Od czasu tamtych nieszczęsnych odwiedzin u matki, panicznie bałam się szpitali. Ale teraz byłam w towarzystwie człowieka, którego uważałam za swojego przyjaciela; który w białym, lekarskim fartuchu sprawiał wrażenie, że całkowicie panuje nad sytuacją.

Poza tym, tej tajemniczej kartki bałam się jeszcze bardziej. Sama świadomość, że ktoś pod moją nieobecność znowu zakradł się do mojego domu, naruszył intymność mojej sypialni i zostawił ten niechciany podarunek, napęłniała mnie lękiem. Nie byłam wręcz pewna, czy chcę się dowiedzieć, co napisano po rosyjsku – podejrzewałam, że Raoul znowu znalazł jakiś wiersz. Od czasu wydarzeń po kolacji w Château du Cruguil przesyłano mi regularnie kosze z żywnością, ale po tym pierwszym liście i bukietcie róż, nie otrzymałam od wicehrabiego żadnych więcej wiadomości. Łudziłam się, że – uspokojony faktem, że przyjąłam jego przeprosiny – postanowił usunąć się dyskretnie z mojej drogi; byłam mu za to wdzięczna. Teraz wszystkie obawy powróciły.

Weszliśmy na piętro i szliśmy dalej, wzdłuż czystych, pomalowanych białą farbą korytarzy. Z niektórych sal, gdzie leżeli chorzy, rozlegały się jęki, albo nawet krzyki. Mijali nas przemierzający się w pośpiechu pielęgniarze i siostry w białych, wykrochmalonych fartuchach, z charakterystycznymi sztywnymi stroikami na głowach. Dowiedziałam się, że do szpitala przyjmowano pacjentów z miasteczka – kobiety i mężczyzn w osobnych skrzydłach budynku – ale znaczną część chorych stanowili inwalidzi wojenni, jeszcze z czasów wojny z Prusami, która zakończyła się przed dziesięcioma laty. Najciężej ranni – i ci, którzy nie mieli dokąd wracać – pozostali w Lannion.

Trochę się obawiałam spotkania z kapitanem Janem po tym, co opowiedział mi o nim doktor Weir. Nie chciałam, aby moja wizyta – w dodatku w jakiejś prywatnej sprawie, która nic nie obchodziła weterana wojennego – sprawiła mu przykrość. Nie mogłam zagwarantować, że jego widok nie będzie dla mnie szokujący – chociaż, będąc o tym uprzedzoną, z całej siły obiecywałam sobie, że nie zdradzę się nawet jednym krzywym spojrzeniem. Byłam świadoma, że bardzo łatwo mogę urazić jego uczucia, obrazić go, chociaż rozpaczliwie potrzebuję jego pomocy. Przecież taka sama sytuacja zdarzyła mi się już kiedyś – w zeszłym roku, w *Demeure du Lac*...

Ja naprawdę nie wiedziałam, nie spodziewałam się niczego złego. Kiedy okazało się, że to jest w sumie dość normalne mieszkanie - z meblami, książkami, nawet z tą dziwną kotką w jubilerskiej obroży – sądziłam, że to jest jakiś żart. Że ktoś z pracowników urządził sobie w piwnicach Palais Garnier tę osobliwą samotnię dla wygody, albo dla dowcipu. Przyszło mi wręcz do głowy, że być może wynajmowano te pokoje bogatym patronom teatru na sekretne schadzki. Nie posądzałam jednak Erika o żadne złe zamiary. Po pierwsze, po tygodniach prób w garderobie czułam, że nie jest mi obcy; miałam wrażenie, że dobrze się znamy. Poza tym, kiedy przyszedł po mnie tamtego wieczoru, był tak uprzedzająco grzeczny, uprzejmy, dystygnowany – że sprawiał wrażenie, jakby był onieśmielony moją obecnością. Jakby sama rozmowa ze mną była dla niego spełnieniem najskrytszych marzeń. Przez myśl mi nawet nie przeszło, żeby ktoś taki miał nagle przestać zachowywać się jak człowiek o uczciwych intencjach.

Erik pokazywał mi to swoje dziwne królestwo jak chłopiec, który chce się pochwalić przed matką jaki piękny zbudował zamek z piasku.

- To jest mój dom nad jeziorem – powiedział. – *Demeure du Lac*.

Pamiętam, że piliśmy potem herbatę w salonie, a Erik grał dla mnie na skrzypcach. Jak kiedyś mój ojciec, chociaż przecież nie mógł o tym wiedzieć. On nawet był odrobinę podobny do mojego ojca, który też był bardzo wysoki, chociaż nie tak szczupły. Byłam taka zmęczona tymi wszystkimi wrażeniami, że usnęłam na kanapie; a może to Erik dolał mi jakiegoś środka usypiającego do herbaty...

Obudziłam się w ubraniu. Leżałam przykryta wełnianym szalem na wygodnym łóżku, w pokoju pełnym starych mebli z czasów króla Ludwika Filipa. Skręcone na najmniejszy płomień lampy dawały dyskretne, ciepłe światło. Było mi dobrze i spokojnie – jak w mieszkaniu Profesora i Cioci. Nie miałam wcale ochoty wracać do mojego biednego pokoiku na poddaszu. Leżąc w tym wielkim łóżu pomyślałam, że chciałabym tu zostać. Że przecież mogłabym przychodzić na próby przez lustro w garderobie, śpiewać w przedstawieniach, a potem wracać tutaj - nad jezioro, które dochodziło do mieszkania z jednej strony, mroczne i ponure. Wewnątrz wcale nie było ponuro – było wygodnie i spokojnie, w złotym blasku kinkietów umieszczonych na ścianach. Kiedyś dawno, na plaży Trestraou, Raoul de Chagny powiedział mi, dlaczego unika lekcji gry na skrzypcach z moim ojcem. Powiedział, że musiał wybrać: miłość albo muzyka... W *Demeure du Lac* nie było mowy o żadnych takich wyborach. W tym domu muzyka była na wyciągnięcie ręki.

A miłość...? Czy ten ciepły blask lamp, czy ten łagodny smak herbaty z cytryną, czy te delikatne dźwięki skrzypiec były miłością...? Tak myślałam... Naprawdę tak myślałam. Wstałam cicho i uchyliłam drzwi sypialni. Usłyszałam muzykę dochodzącą z jedyne go pokoju, którego Erik mi wczoraj nie pokazał.

- Tam nie ma nic ciekawego – powiedział łagodnie. – To tylko składzik starych duchów.

Uwierzyłam, nie nalegałam, w końcu byłam tu gościem. Ale teraz z tego tajemniczego pokoju dobiegała muzyka, jak z kościoła. Jak w kościele świętej Marii Magdaleny, gdzie w Boże Narodzenie chodziliśmy z Ciocią i Profesorem posłuchać kolęd. Nie znałam tej melodii, którą grał, ale od dziecka dźwięk organów kojarzył mi się z kolędami i prezentami... Ta kolęda Adolphe'a Adama, którą soliści Opery śpiewali zwykle w Święta u Marii Magdaleny. Święta Noc...

*Minuit, chrétiens, c'est l'heure solennelle,  
Où l'Homme-Dieu descendit jusqu'à nous  
Pour effacer la tache originelle  
Et de Son Père arrêter le courroux.  
Le monde entier tressaille d'espérance  
En cette nuit qui lui donne un Sauveur.  
Peuple à genoux, attends ta délivrance.*

*Noël, Noël, voici le Rédempteur,  
Noël, Noël, voici le Rédempteur!*

*Północ, o chrześcijanie, to święty czas  
Gdy na świat przychodzi Bóg-Człowiek  
Aby zmazać pierworodny grzech i ukoić gniew swego Ojca.  
Cały świat drży nadzieją, że ta noc da mu Zbawiciela.  
Na kolana, ludzie! Oczekujcie odkupienia.  
Noël, Noël – oto nadchodzi Wybawca!*

Nie pamiętam już, co Erik wtedy grał, pamiętam natomiast swoje myśli, jakby to się zdarzyło wczoraj. Oczekiwanie, nadzieja... Nadzieja na wybawienie – z samotności, z pustki, z jałowości; z życia, w którym od miesięcy najwierniejszymi towarzyszami były dla mnie duchy umarłych. Nadzieja na to, że tutaj – w mojej ukochanej Operze – jest coś więcej, niż tylko piękna sztuka, która pozwala na chwilę zapomnieć o troskach. Pełna zachwytu nadzieja, że Palais Garnier to nie jest zwykły teatr, tylko czarodziejska, zamaskowana piramida, a ja właśnie dotarłam do jej skarbcza. I że tym największym skarbem jest Miłość - i że wystarczy zdjąć tę ostatnią zasłonę, a ona rozwinie się nade mną jak sztandar zwycięstwa. *Voici le Rédempteur! Oto mój Wybawca!*

To było jak piorun, jak grom z jasnego nieba. Skoczył z okrągłego stołka na równe nogi, ruszył na mnie jak wściekły byk na torreadora. Ja... ja... nie mogłam w to uwierzyć. Zaczęłam cofać się odruchowo, a on zbliżał się do mnie jak zranione dzikie zwierzę, śmiertelnie niebezpieczne.

Wrzeszczał: „Ty podła źmijo! Ty wścibska, mała Pandoro!” Docisnął mnie rękami do ściany i chwycił za szyję. „Taka byłaś ciekawa, to sobie popatrz! Napatrz się do syta! To jest moja opera – to jest *Tryumf Don Juana!*”

Chciałam zamknąć oczy, ale zacisnął ręce na mojej szyi i rozluźnił ten morderczy uścisk dopiero, gdy je znowu otworzyłam. Nawet nie płakałam, to wszystko stało się zbyt nagle. Patrzyłam. To było... makabryczne. Wyglądał jak coś, co umarło, co leżało w ziemi od dawna. Miał twarz jak... mumia faraona. Wszystko powyżej poziomu górnej wargi było trupio żółte, głęboko pobrużdżone, z sinoczarnymi kręgami poniżej zapadniętych w czaszkę oczu, których niebieski kolor potęgował tylko wrażenie grozy. Skóra była sucha i napięta na czaszce i kościach twarzy, a w miejscu nosa znajdowała się głęboka jama - wyglądał jak żywy trup. Miał włosy w nieokreślonym kolorze, może tylko trochę zbyt długie, ale kiedy był w masce i eleganckim ubraniu przyglądał je brylantyną; nawet nie zauważyłam dotąd, że było z nimi coś inaczej, niż u innych znanych mi mężczyzn. Teraz jego zmierzwiłone włosy zwisały w strąkach wokół tej przerażającej twarzy; wyglądało to jak strzępy bandażu wokół głowy mumii. To wszystko było tak szokujące, że nie byłam w stanie nawet krzyknąć.

Ale największe przerażenie miało dopiero nadejść. W pewnej chwili Erik przycisnął ręce do swojej piersi i upadł na kolana u moich stóp, a potem przewrócił się na bok na podłogę. Ja wiedziałam, co to jest – to jest atak serca. Na to umarł mój ojciec na plaży Trestraou... Ojciec mi zesał zza grobu anioła – a ja go zabiłam! Boże, powinnam była raczej utopić się w tym czarnym jeziorze za domem, niż ściągać tę jego maskę... Ciekawość to pierwszy stopień do piekła - właśnie byłam w piekle, a za każdym razem, kiedy wydawało mi się, że gorzej już być nie może, ziemia rozstępowała się pod moimi stopami, aby wciągnąć mnie w jeszcze głębsze otchłanie.

Uklękałam koło niego na dywanie i zaczęłam się modlić o ratunek. Do Boga, do Profesora, do Cioci, do moich utraconych prawdziwych rodziców – do wszystkich najwyższych instancji nieba i piekła. Nie wiem, czy moja desperacka – i chyba dość bluźniercza - modlitwa to sprawiła, ale Erik poruszył się ledwo dostrzegalnie.

- Co ja mam robić? – szepnęłam do niego. - Proszę cię... powiedz mi, co mam robić.

Nie mógł nic powiedzieć, ale pokazał mi. Z ogromnym wysiłkiem wyciągnął lewą rękę w stronę maski, która wypadła z moich zgrabiących z trwogi palców i leżała na podłodze. Boże, on chciał tylko umrzeć z odrobiną ludzkiej godności... Podałam mu tę maskę, oczywiście – modląc się w duchu do wszystkich świętości, żeby on tylko żył, a nigdy, przenigdy więcej mu jej nie zdejmę...

Kremowa kotka zaczęła mnie obchodzić warcząc groźnie, jakby szykowała się do ataku. Chciała go bronić przede mną... Erik podniósł się z trudem na kolana, przyciągnął do siebie kotkę i powłókł się parę kroków do kanapy.

- Nie podchodź – wysapał jeszcze i upadł na poduszki.

Leżał nie ruszając się, a w mojej głowie kołatała się ostatnia, przerażona myśl: *Jeśli ty umrzesz, ja też umrę...*

Z tych bolesnych wspomnień wyrwał mnie ostry głos.

- Witam pana, doktorze Frankenstein!

To był jeden z pacjentów. Siedział z wykrzywioną twarzą, przywiązany pasami do łóżka tak, że nie mógł z niego wstać. W pokoju było sześć łóżek, z których dwa były chwilowo puste. Jeden z chorych najwyraźniej wstał i usiadł na krześle przy oknie. Siedział odwrócony do nas tyłem i patrzył na ogród. Rozpoznałam go po tym dziwnym kasku na głowie. Głośny dźwięk sprawił, że zadrżałam.

- Proszę się nie bać, Mademoiselle Daaé – powiedział Robert uspokajająco. – Moi podopieczni walczyli czasem po przeciwnych stronach barykady. Ale w tym szpitalu panuje pokój.

- Jak na cmentarzu! – zawołał przywiązany pacjent.

- *Pax!* – powiedział do niego stanowczo doktor Weir. – Nie przyszliśmy tutaj do ciebie, Gaston, tylko do kapitana.

Kapitan Jan nawet się nie poruszył na krześle. Za to pacjent nazwany Gastonem nie chciał się uspokoić.

- Polak-Romantyk bez głowy! Oni tak mają: Bóg, Honor, Ojczyzna. Aż im zawsze w końcu coś głowę urwie! I co zostało? *Rien...* Kapitan Nemo!

*Rien...* – pomyślałam – pierwsze słowo Fausta w operze Gounoda. Cała opera zaczyna się od tego „nic”, rozbrzmiewającego jak zapowiedź nieszczęścia...

Spod okna dobiegł nas zduszony głos, jakby ktoś bardzo się starał, żeby nie krzyżeć.

- Zamknij się, Gaston. Posiedź sobie parę lat w carskim więzieniu, a potem niech cię wypuszczą na wolność do całego kraju, który zamienili na więzienie. Dopiero wtedy gadaj!

- Chcecie wolności, a nawet baby nie umiecie zdobyć. Ale ale, pan kapitan Nemo ma gościa... I tym razem to nie jest siostrunia... Ejże ty, czerepie rubaszny... Poproś, może doktor Frankenstein przyszyje ci nową głowę od jakiegoś nieboszczyka.

- Jesteś chory, Gaston. Niech ci Bóg wybaczy.

- Katolik się znalazł! Wy przecież czcicie tylko tę swoją Madonnę-Polonię w wiejskiej zapasce. I co, kogo wybrała twoja Polonia – Rusa czy Prusa, bo nie pamiętam? Rozwalił ci tę pustą głowę, a ty jemu... piętę! – Gaston wybuchnął opętańczym śmiechem.

Byłam przerażona i bardzo zażenowana. Stałam nie wiedząc jak się zachować, chciałam natychmiast uciekać z tego szpitala. Doktor Weir natomiast zachowywał się tak, jakby całkowicie przywykł do oglądania podobnych scen.

- Siostro Marie! – poprosił spokojnie. - Niech ktoś zrobi Gastonowi zastrzyk, znowu ma atak.

- Przepraszam pana – powiedziałam do kapitana, podchodząc parę kroków w stronę okna. – To przeze mnie.

- Proszę się nie przejmować, Madame – odpowiedział inwalida. – On ma te ataki co chwila; po zastrzyku się uspokoi i zaśnie.

Odwrócił się do mnie lekko. Całą głowę zakrywał mu pomalowany kremową farbą metalowy hełm, którego część schodziła również na twarz, zasłaniając czoło oraz miejsce, gdzie kiedyś był nos i prawe oko. Wyglądało to trochę lepiej, niż moje najgorsze wyobrażenia. Dziwnie, ale nie szokująco.

Doktor Weir przedstawił kapitanowi moją prośbę; ten wydawał się zaintrygowany. Powiedział, że spróbuje mi pomóc. Kiedy tylko wziął do ręki moje kartki i spojrzał na nie jedynym okiem, zrozumiałam, że zna ten wiersz. I że z jakiegoś powodu jest on dla niego bardzo ważny. Popatrzył pytająco na doktora Weira, a potem na mnie. Powiedziałam mu, skąd mam ten tekst, jak znalazłam go w mojej sypialni, wśród płatków róż.

Poprosił nas o trochę czasu. Wyszliśmy z doktorem na spacer do Lannion. Było to dość duże, ładne miasteczko położone na niewysokich wzgórzach, o wielu malowniczych domach z pruskiego muru, starych kościołach i urokliwych ryneczkach, gdzie handlowano warzywami i kwiatami. Po dwugodzinnym spacerze – podczas którego ciągle oglądałam się za siebie, czy nie zobaczę gdzieś niespodziewanie Raoula – wróciliśmy do szpitala Urszulanek.

Kapitan przygotował dla mnie obiecane tłumaczenie, a kartki z francuską wersją tajemniczego wiersza zamknął w kopercie, którą mi podał.

- To fragmenty z poematu *Demon* Michaiła Lermontowa – powiedział, gdy zapytałam go o tytuł i autora utworu.

Przeraziłam się - najpierw był Kaliban Szekspira, potem miltonowski Szatan, a teraz to! Co ten Raoul wymyśla?! To była jakaś nowa, mroczna i bardzo niebezpieczna strona duszy wicehrabiego de Chagny... On się zakradł z tym swoim demonem do mojego łóżka! – na tę myśl zrobiło mi się zimno ze strachu.

- *Demon*?! Boże święty! – zawołałam zduszonym głosem, odruchowo chwytając rękę doktora Weira. – Tego się właśnie obawiałam... Znowu jakieś diabelstwa!

- Proszę się nie bać, Madame. To nie są żadne diabelstwa. To jest tylko cierpienie... i miłość. To mówi anioł, do kobiety, którą kocha. To musi być taki trochę upadły anioł – przecież ten zbawiony nie odczuwałby tego nienasyconego pragnienia i tęsknoty, którą tylko miłość Tamary może ukoić. Wie pani, Madame - pierwsi chrześcijanie, kiedy nie wiedzieli, jak poradzić sobie z kultem starych bogów uznali, że to wszystko są demony. Kiedy tłumaczyłem ten wiersz dla Teresy, wyobrażałem sobie, że to mówi Apollo. Słoneczny Apollo, którego nowy Kościół strącił w ciemność. Ale dopiero w tej ciemności - nie oślepiony swoim własnym blaskiem - ten upadły Apollo może poznać, czym jest miłość.

- To bardzo piękne, co pan mówi – powiedziałam łagodnie. - Musiał pan bardzo kochać tę kobietę.

- Kochałem ją tak, jak opisał to Lermontow. Chciałem jej rzucić świat do stóp. Chciałem wywalczyć dla niej wolny świat, w którym mogłaby żyć dumnie...

- A ona? – zapytałam, w następnej chwili żalując swojej nieostrożności.

- Było tak, jak w tym poemacie... – powiedział cicho Jan.

Poczułam ulgę na te słowa, mącił ją tylko dziwny niepokój, dlaczego kapitan powiedział to z tak dojmującym smutkiem.

- Przyszła do mnie... – wyjaśnił drżącym głosem. - Pocałowała mnie... I od tego jednego pocałunku umarła, jak Tamara. A może to ja umarłem...

Wzięłam go za rękę, ale delikatnie odsunął się, jakby chciał mi powiedzieć, że nie potrzeba rozdrapywać starych ran.

- Tamara była w końcu tylko śmiertelnym człowiekiem... – szepnął.

- Dziękuję panu z całego serca, panie kapitanie – powiedziałam cicho.

Spojrzał w moją stronę jedynym pozostałym mu okiem.

- Madame, proszę tego nie czytać w szpitalu. Proszę wziąć te kartki i przeczytać ten wiersz gdzieś, gdzie będzie pani sama. Jeśli ktoś pani przysłał taką poezję – choćby nie potrafiła się pani zdobyć wobec niego na wzajemność – proszę panią, niech znajdzie pani w sobie odwagę, by stanąć twarzą w twarz z potęgą jego miłości. Nawet, jeśli nie kocha pani tego mężczyzny, proszę pozwolić mu to wypowiedzieć. Proszę to zrobić dla mnie...



Ze ściśniętym sercem zapewniłam kapitana, że przeczytam ten wiersz dopiero wieczorem, nad morzem. Wydawało się, że moja obietnica sprawiła mu ulgę. Pomyślałam, że chciałabym jeszcze kiedyś go odwiedzić, że chciałabym poznać jego siostrę - ale nie wiedziałam, czy będzie to kiedykolwiek możliwe. Wzięłam kopertę z przetłumaczonym fragmentem poematu. Jeszcze raz podziękowałam serdecznie doktorowi Weirowi za pomoc i pozwoliłam, by inny lekarz - kolega Roberta, który kończył właśnie dyżur - odwiózł mnie do Perros-Guirec.

Wieczorem zjadłam skromną kolację w Villi Silence, ale nie poruszaliśmy przy stole tematów tajemniczej przesyłki, wizyty w szpitalu, ani tłumaczenia poezji. Kiedy wychodziłam, złapałam się na myśli, że Bernardowie byli dzisiaj aż za bardzo dyskretni. Być może doktor Weir coś im powiedział po powrocie z Lannion. Wszyscy sprawiali wrażenie, jakby nie chcieli mi przeszkadzać; jakby obsadzili siebie samych w rolach milczącego, greckiego chóru. Byłam absolutnie pewna, że nikt – nawet Marina – nie zejdzie dziś wieczorem na plażę, żeby przeszkadzać mi w czytaniu.

Usiadłam w czerwonym blasku ostatnich promieni słonecznych, zdjęłam kapelusz wraz z zamotanym na nim czerwonym szalem, położyłam go obok siebie na piasku i rozpuściłam włosy. Delikatnie otworzyłam kopertę i wyjęłam z niej dwie złożone kartki zapisane starannym pismem.

*W całym wszechświecie ja jedynie  
Ciebie zachwytem mym dosięgłem:  
W tobie mam świętość i świątynię,  
Przed tobą składam mą potęgę.  
Za drgnienie serca, dar bezcenny,  
Oddam ci bezmiar mej wieczności.  
Jak w nienawiści, tak w miłości,  
Wierz mi, jam wielki i niezmienny.*

*Tam, gdzie już żadna myśl nie lata,  
Wzniosę cię, wolny syn przestworzy,  
Ty będziesz monarchinią świata  
I towarzyszką duchów Bożych.  
Z gwiazd, niewzruszona, nieulękła,  
Będziesz patrzyła się na ziemię,  
Gdzie nie ma prawdziwego piękna,  
Gdzie szczęście ledwie jest marzeniem,  
Gdzie małe serca, małe sprawy,*

*Gdzie wielkość tylko jest we wstydzie,  
Gdzie nikt nie umie bez obawy  
Pokochać ani znienawidzić.*

*Czym zawsze miłość ludzka była  
Mimo pozornej serca głębi?  
Wrzeniem krwi młodej w młodych żyłach.  
Ale czas szybko krew oziębi.  
Któż zdoła oprzeć się rozłące,  
Pokusie, kiedy zmysły drażni,  
Nudzie, znużeniu, dłoni drżącej  
I kaprysowi wyobraźni?*

*Nie tej dla ciebie pragnę doli!  
Wierz mi, nie będziesz żyć na marne,  
Nie będziesz duszy truć w niewoli  
Ludzkiej zawiści ordynarnej,  
Wśród serc tchórzliwych, myśli wrogich,  
Uczuć fałszywych i nikczemnych,  
Wśród czczych nadziei, wiecznej trwogi,  
Wysłków ciężkich a daremnych.*

*Wskaże ci ręka Przeznaczenia  
Inne otchłanie, inne szczyty.  
Inne czekają cię wzruszenia,  
Inne rozpaczę i zachwyty.  
Swe dawne sny i pożądania,  
Ten świat - pozostaw własnym losom,  
Bo najdumniejszą z dróg poznania  
Moje pragnienia cię poniosą.*

*Gromady duchów mi podległych  
Ja do stóp twoich przyprowadzę.  
One twych marzeń będą strzegły  
I tobie dam nad nimi władzę.  
Dla ciebie z gwiazdy Wschodu zerwę  
Wieniec ze złota, a w twe włosy*

*Wepnę najszlachetniejszą perłę,  
Jaką wyplakał kwiat łzą rosy.*

*Ja tęczę blasków promienistych  
Jak wstążką kibić twą owinę  
I aromatu tchnieniem czystym  
W twoim westchnieniu się rozpląnę.  
Bez strun ci będą tony grały  
Samym słuchaniem twoich uszu.  
Pałac zbuduję ci wspaniały  
Z kruszcu, bursztynów i turkusów.*

*Na dno mórz zejść, pójdę wszędzie,  
Gdzie myśl nie świeci już ni słońce.  
Wszystko, co ziemskie, twoje będzie!  
Kochaj mnie, błagam!*

Zaszło Słońce. Gwiazda Apolla zatonięła w morzu. Siedziałam i nie mogłam się poruszyć, śledząc wzrokiem ostatnie gasnące promienie. Apollo strącony do Tartaru... Przypomniałam sobie blond czuprynę Raoula de Chagny u moich kolan w ogrodzie Château du Cruguil. Nawet gdybym miała serce z kamienia, po tym wierszu nie mogłabym mu dłużej nie współczuć... Mój Boże, co on musiał znosić... W swojej dziecinnej naiwności sądziłam, że te wakacje będą dla niego ukojeniem; że wyzwolą go z poczucia winy i pomogą spojrzeć inaczej na dawno minione dzieje. Że Raoul zobaczy we mnie kogoś innego, niż tamtą małą dziewczynkę z plaży.

Nie mogłam się dłużej łudzić. Każde nasze spotkanie, zamiast go uspokajać, podsycalo jeszcze jego miłość do mnie. On nie zamierzał zapomnieć. Mój stary przyjaciel spadał głową w dół, prosto na zatracenie; jak Apollo strącony z Olimpu przez nowego Boga. Chciałam pochylić się nad nim jak siostra, chciałam utulić go w swoich ramionach – i nie mogłam. Ja jedna, spośród wszystkich ludzi, nie mogłam tego zrobić - bo moje współczucie wzięłoby za znak miłości, której utrata strąciłaby go w jeszcze głębsze piekło, niż to, które znosił. Zaczęłam czytać ten wiersz jeszcze raz, mimo słabego światła zmierzchu.

Pomyślałam, że kapitan Jan się pomylił. To nie był Apollo – niewzruszony bóg sztuki, piękny i okrutny jak Słońce. To był Orfeusz. Orfeusz mówiący do Eurydyki. Raoul nazwał mnie swoją Eurydyką. Chciał wywołać z mroków niepamięci ducha dziewczynki, która dawno dorosła.

Ja dorosłam, Raoul - i nie potrafię nawet czytać tego twojego wiersza tak, jak chciałbyś, żebym go czytała. Błagam cię, dorośnij i ty – a jeśli nie potrafisz, proszę cię, odejdz do krainy moich wspomnień, za swoją utraconą Eurydyką...

Spojrzałam w dal, na morze. Zastanawiałam się, skąd u licha Raoul wytrzasnął coś takiego. *W tobie mam świętość i świątynię... Wzniosę cię, wolny syn przestworzy... Z gwiazd niewzruszona, nieulekła, będziesz patrzyła się na ziemię...* To miał być Raoul? To nie był żaden Raoul, na Boga! To były czerwone żagle, to były magiczne księgi Prospera, to był rydwan Hadesa zaprzęgnięty w czarne konie z dymu i pyłu. To był on – mój Orfeusz, schodzący do czeluści piekielnych po swoją Eurydykę.

*Ty będziesz monarchinią świata...* Z Raoulem byłabym co najwyżej trzeciorzędną hrabiną. Raoul de Chagny, mimo swego tytułu i majątku był niewolnikiem norm, powinności; tego, co wypada i nie wypada. Chciał to dla mnie odrzucić – to prawda. Ale czy byłby w stanie kiedykolwiek z tego zrezygnować? On by mnie wbudował w ścianę swojego pałacu, postawił jak bibelot na kominku. Przecież to jasne, że z Raoulem żyłabym na marne, zniszczyłabym to, co stanowi esencję mojego istnienia. Nie spełniłabym ani swoich marzeń, ani nawet marzeń mojego ojca.

Zdołałam oprzeć się rozłace, pokusie, błaganiom i wszystkiemu, co wyobrażnia Raoula de Chagny była w stanie postawić przed moimi oczami. Zdołałam odrzucić strach i wyciągnąć swoją dłoń na spotkanie z ręką Przeznaczenia. To jest Konieczność – to jest Necessitas. Będę monarchinią świata dopiero wtedy, kiedy wszystkie twoje demony - mój ukochany Kapitanie - będą spokojnie leżały u moich stóp. Nie potrzebuję innej służby. Wyczaruj dla mnie swoją muzykę, Orfeuszu - istniejącą tylko po to, abym jej słuchała... Zbuduj dla mnie swój zaklęty pałac. Zerwij dla mnie wieniec z gwiazdy Orientu. Zrób to wszystko - albo po prostu przyjedź tu do mnie, nad to zimne morze, a wszystko, co ziemskie, będzie twoje. A potem, mój wolny Aniele Muzyki, wzniesiemy się razem aż do gwiazd i stamtąd wszystkie problemy Ziemi wydadzą nam się śmiesznie małe.

Nagle kątem oka uchwyciłam jakiś ruch od strony lądu. Zobaczyłam, że Raoul de Chagny nadjechał na plażę Trestrignel konno. Zatrzymał pięknego, białego ogiera tak gwałtownie, że prawie spadł na piasek, ale utrzymał się w siodle i po chwili zeskoczył. W rękę trzymał butelkę wina. Sądząc po tym, jak wyglądał, nie pierwszą tego wieczoru.

Wstałam z piasku i schowałam kartki za plecami. Natychmiast znalazł się przy mnie.

- Co tam masz? – zapytał obcesowo.

- Nie twoja sprawa. A zresztą, dziwię się, że o to pytasz. Czytam ten wiersz, który kazałeś mi podrzucić. – Wyciągnęłam w jego stronę kartkę z rosyjskim tekstem wiersza Lermontowa. Wziął ją i przez chwilę patrzył, jakbym podała mu chińskie znaki.

- Co to ma być?

- Przestań wreszcie kłamać, przecież sam kazałeś mi podrzucić tę kartkę do domu! – Nie miałam ochoty na przekomarzanie.

- Ja?! Po bułgarsku? Czy to jest może rosyjski, albo jakiś inny dziwaczny słowiański alfabet? Ja nie mam z tym nic wspólnego!

- Ty nie znasz rosyjskiego, Raoul? – zapytałam zaskoczona.

- Nie, skąd miałbym go znać? – odpowiedział pytaniem.

Wzięłam z jego rąk kartkę; poczułam, że zalewa mnie taka fala ulgi, że musiałam usiąść.

- Tak się cieszę, że cię widzę, Raoul – powiedziałam z promiennym uśmiechem, jakbym w tym momencie zobaczyła go po raz pierwszy. – Tak się cieszę, że się lepiej czujesz.

Cieszę się, że chociaż ten jeden wiersz to nie ty! – chciałam krzyknąć w głos. – Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę! Przynajmniej ten jeden wiersz podłożył mi ktoś inny! Nie miałam czasu zastanawiać się, kto...

Raoul spojrzał na mnie dziwnie, kiedy wspomniałam o jego zdrowiu; naprawdę kierowała mną jedynie przyjacielska troska.

- Profesor Barye i ten jego asystencina Weir! Byli u mnie kilka razy z tymi swoimi stetoskopami, strzykawkami. Mówili: „Monsieur le Vicomte, trzeba się uspokoić.” Nieprawda, trzeba walczyć o swoje, trzeba wziąć byka za rogi. – Podniósł do góry butelkę, jakby wznosił do mnie toast. - Twoje zdrowie Europo! – I jeszcze raz, w stronę morza. - Twoje zdrowie Ameryko, mój nowo odkryty lądzie!

- Raoul, jesteś pijany!

- Bynajmniej, Christine. Ja tylko świętuję. Świętujmy razem, napij się ze mną.

Przysunął butelkę w moją stronę, ale odepchnęłam jego rękę. Nagle zaczął nieskładnie tańczyć na plaży, jakby tańczył walca; podśpiewywał półgłosem:

*Lille Lotte wyjdź nad morze,  
Co byś chciała, powiedz proszę.  
Sukieneczki, wstążki, szmatki?  
Może bajki lub zagadki?  
Czy laleczki, czekoladki?*

To była jedna z tych starych, dzieciennych piosenek, które ciągle wymyślał dla mnie mój ojciec. Nawet się nie spodziewałam, że po tylu latach Raoul będzie ją pamiętał.

- Nie mów do mnie Lotte – powiedziałam ostro. – Nie lubię tego imienia.

- A jak mam mówić? Nazywam cię Annabel Lee – źle, Eurydyką – źle, Lotte – źle...  
Więc powiem po prostu - Christine. Pamiętasz, jak twój ojciec grał na plaży, a ty śpiewałaś?

*Nie, tylko jedno wzrusza mnie,  
co wieczór kiedy spać kładę się  
A mój Anioł Muzyki mi śpiewa we śnie...  
Mój Anioł Muzyki mi śpiewa we śnie...*

- Twój Anioł Muzyki... – tak mówiłaś; nie wiedziałem nigdy, czy to ma być o twoim ojcu, czy o tym śmiesznym staruszku, który tu po was przyjeżdżał, czy jeszcze o kimś innym. O wszystkich, o każdym z osobna, byle tylko nie o mnie. O mnie nie układałaś piosenek. Za to ja układałem o tobie piosenki w mojej głowie, pisałem wiersze do ciebie, których nigdy ci nie pokazałem. Chciałem być twoim rycerzem, chciałem chodzić z tym twoim czerwonym szalikiem przywiązanym na hełmie. Chciałem cię uratować i zamierzam cię dzisiaj uratować. Wstawaj, jedziemy do Lannion!

- Jesteś pijany, Raoul. Nigdzie z tobą nie pojedę.

Zobaczyłam, że sięgnął po coś do kieszeni. Zanim się zorientowałam co się dzieje, przystawił mi do nosa chusteczkę nasączoną jakimś dziwnie pachnącym płynem. Tracąc przytomność poczułam, że złapał mnie, podniósł z ziemi i wsadził na konia.

Ocknęłam się w jakimś pokoju, jak się domyślałam, w sypialni w pałacu Cruguil. Przez duże balkonowe drzwi widziałam tylko ciemność w ogrodzie. Raoul siedział na krześle u mojego wezgłowia; najwyraźniej czekał, aż się obudzę.

- Wiesz przynajmniej, dlaczego twój ojciec nazywał cię Lotte? – zapytał kiedy tylko zauważył, że otwieram oczy.

- To chyba z jakiejś książki – powiedziałam siadając. Bałam się.

- Z *Cierpień młodego Wertera* Goethego – wyjaśnił. Zobaczyłam, że w ręce trzyma jakiś tomik.

- „*Czemu mnie budzisz, wiośniany powiewie? Owiewasz mnie tchnieniem miłości i mówisz: ‘Zraszam cię kroplami rosy!’*” – zaczął czytać. - „*Daremnie! Czas mego więdnienia nadchodzi, już idzie burza, która zwieje liście z moich gałęzi. Jutro nadejdzie wędrowiec, który mnie widział w całej krasie, oko jego będzie mnie szukać po dalekiej pustoci i nie znajdzie.*”

Jutro nadejdzie wędrowiec... – tylko to zrozumiałam. Jutro nadejdzie mój Wybawca...

- To Werter – powiedział Raoul siadając przy mnie. – Czyta Lotte urywki z poematów Osjana... Przeczytał jej ten fragment, a wtedy ona go pocałowała...

- Raoul, co ty wygadujesz? Która jest teraz godzina?

- Jedenasta prawie... Za pięć minut będzie jedenasta! – Powiedział to takim tonem, jakby o tej jedenastej miały decydować się sprawy życia i śmierci.

Podniosłam się z łóżka, Raoul wstał w ślad za mną.

- Wiesz, dlaczego chciałem się z tobą spotkać pod Fontanną Medyceuszy w Ogrodzie Luksemburskim? – zapytał.

- Nie mam pojęcia – powiedziałam wzburzona. - Myślałam, że dlatego, że to odludne miejsce.

- Nie tylko. Nie zauważyłaś figur na fontannie? Polifem czyhający na Acisa i Galateę. Ona była morską nimfą, a on pięknym, młodym pasterzem; bardzo się kochali. Ale stary, wstrętny potwór był o nią zazdrosny. Zakradł się i zabił Acisa!

- Galatea? Chyba coś ci się pomyliło. Galatea należy tylko do Pigmaliona. Była martwym kamieniem, zanim Pigmalion tchnął w nią życie swoją sztuką i swoją miłością.

- Nie, Christine, to ty się mylisz! Były dwie Galatee. Ta twoja zimna rzeźba i ta moja - pełna życia, zachwycająca. Ty jesteś moją Galateą, moja boginko znad morza. Już zapomniałaś, jak ten potwór groził, że mnie zabije, jeśli mu się nie oddasz?! Wszystko zapomniałaś?! Więc ci przypomnę. Byliśmy w labiryncie pod Palais Garnier. Ta bestia przyniosła cię tam, jak wilk niesie rannego króliczka do swojej nory. Ale ja przybyłem, aby cię uratować. Jak Tezeusz. Nie zdołałem zabić Minotaura, ale udało mi się ciebie stamtąd wydostać. Ale ty wróciłaś do labiryntu! Do Bestii. On cię zmienił, Christine. On cię pożarł i wypluł; on cię przerobił na taką samą bestię, jaką był – jak jakiś wampir. Porzuciłaś mnie, Ariadno...

- A ciebie - Tezeuszu od siedmiu boleści - przygarnął Dionizos, jak widzę! Jesteś pijany i nie panujesz nad sobą. Natychmiast mnie wypuść!

- Nie puszczę cię! Zamierzam cię odczarować w ten sam sposób, w jaki zostałaś zaczarowana.

Roześmiał się przy tym diabolicznym, pijackim śmiechem.

- Masz pięć minut, żeby się przygotować – wycedził przez zaciśnięte zęby. – Czy może powinienem zostawić cię samą, ze względu na twoją skromność i poczucie wstydu?!

- Raoul, jeśli mnie dotkniesz, będę się bronić... – wysapałam zduszonym głosem, ale nie zrobiło to na nim najmniejszego wrażenia.

- Ja tylko mam zamiar przeprowadzić na tobie egzorcyzmy. – Zaśmiał się znowu tak dziwnie, że aż zadrżałam.

Zbliżał się do mnie, więc odruchowo zaczęłam się cofać, aż stałam oparta plecami o ścianę. Stał przede mną tak, że wyciągniętymi rękami z obu stron zagradzał mi drogę ucieczki. Przysunął swoją twarz w moją stronę.

- Zostań moją żoną, Christine – powiedział – tak, jak obiecywałaś. Proszę cię ostatni raz.

- Odwołuję wszystkie moje obietnice! – zawołałam przerażona, patrząc mu w oczy.

Zrobił minę, jakby tego właśnie oczekiwał; jakby mój opór był tylko częścią jakiegoś przedstawienia.

- Uratuj mnie... – powiedział przesuwając ręce w stronę mojej szyi. - Tak, jak jego uratowałaś. Uratuj mnie, a wtedy uratujesz też i siebie...

- Ani się waż! – Jeszcze raz spojrzałam w jego oczy, ale teraz zobaczyłam w nich tylko płonąca, czerwoną łunę szaleństwa.

- Niezbyt to na miejscu, że udajesz cnotkę, Christine - krzyknął mi w twarz – zwłaszcza, od kiedy zostałaś diabelską konkubina!

Trzasnęłam go na odlew w prawy policzek, ale jednym ruchem złapał mnie mocno za przegub.

- Jesteś moja, Christine. I dzisiaj zostaniesz moją żoną – syknął mi w ucho.

Nic na to nie odpowiedziałam, tylko z całej siły kopnęłam go w goleń. Raoul zgiął się wpół z krzykiem. Wykorzystałam ten moment na to, by doskoczyć do drzwi na taras, otworzyć je i wybiec do ogrodu. Rzucił się w pogoń za mną, ale był zbyt pijany by biec. Pędziłam na oślep przed siebie drogą, którą kiedyś wlokłam się załamana i upokorzona, kiedy rodzina pana wicehrabiego kazała wyrzucić mnie z pałacu. Nigdy w życiu tak szybko nie biegłam. Dopadając do drogi do miasta, zobaczyłam jeszcze, że Raoul zawrócił do oświetlonego pałacu i skierował się w stronę gdzie, jak pamiętałam, znajdowały się stajnie.

Zadyszana i obolała, dobiegłam do bramy szpitala w dawnym klasztorze Urszulanek. Doktora Weira nie było, ale na szczęście jego kolega – ten, który ostatnio odwiózł mnie po wizycie u kapitana Jana – miał nocny dyżur. Tłumacząc się chaotycznie, zaczęłam go błagać na wszystkie świętości żeby jak najszybciej odwiózł mnie do Perros-Guirec. Zamierzałam natychmiast zabrać najpotrzebniejsze rzeczy z mojego domku i - mimo nocnej pory - szukać ratunku w Villi Silence. Doktor wydawał się bardzo poruszony moją całkowicie nieskładną opowieścią. Zorganizował powóz i bardzo szybko wyjechaliśmy z Lannion. Po drodze poprosiłam go, żeby – o ile byłby tak uprzejmy – zechciał zawiadomić doktora Weira i Bernardów o mojej dramatycznej sytuacji, podczas kiedy ja pobiegnę do mojego domku po swoje rzeczy. Zgodził się bez wahania.

Byłam już prawie przy drzwiach, kiedy zobaczyłam białego konia Raoula de Chagny stojącego przy zejściu na plażę Trestrignel. Usłyszałam jakieś głosy. Nie myśląc wiele, jak szalona rzuciłam się do panicznej ucieczki, byle dalej od domku, który wicehrabia dla mnie wynajął. Biegłam przed siebie, na oślep, w stronę skarpy i dalej, do oddalonego spory kawałek od plaży skalistego przylądka, który nazywano Château du Diable. Chodziłam tam wcześniej parę razy na wycieczki za dnia z młodymi Bernardami. Ale nigdy sama, nigdy w nocy i już na pewno nigdy mając świadomość, że Raoul mnie goni. Byłam pewna, że musiał mnie zauważyć i pobiegł za mną; wydawało mi się, że w ciemności słyszę za sobą jakieś zbliżające się kroki. Bałam się śmiertelnie; zdawałam sobie sprawę, że w obecnym stanie on byłby zdolny się na mnie rzucić. Obawiałam się, że może mnie zabić, a potem popełnić samobójstwo - że zrobiłby absolutnie wszystko, byle nie pozwolić mi odejść. Dopiero kiedy dotarłam do skał nad morzem, uświadomiłam sobie, że szukam ratunku w Zamku Diabła - szatańska ironia ukryta w nazwie tego miejsca przyprawiła mnie o dodatkowe dreszcze na plecach.

Księżyc zaszedł za chmury i znalazłam się w nieprzeniknionej ciemności. Stałam za załomem skały, trzęsąc się ze strachu. Byłam całkowicie pewna, że ktoś tam był. W mroku nocy widziałam tylko, jakby w pewnym miejscu ciemność stała się gęstsza; jakby do zwykłej nocy dołożył się jeszcze jakiś cień.

- Kto tam jest? – zapytałam zduszonym głosem, wiedząc, że kimkolwiek jest ten napastnik, nie mam dokąd uciekać.

Odpowiedziała mi cisza i jakieś szmery, które w moich uszach przybierały kształty wszystkich diabłów. W końcu byłam w Zamku Diabła. Z paraliżującym strachem



pomyślałam, że moje pytanie nie ma sensu - to mógł być tylko jeden człowiek: Raoul de Chagny. Mój nieszczęsny, stary przyjaciel, którego wbrew swym najlepszym intencjom doprowadziłam do szaleństwa... Wyśledził mnie w tym odludnym miejscu, w środku nocy.

W całym moim życiu tak się nie bałam. Dlaczego to się musiało stać akurat dzisiaj; dlaczego właśnie wtedy, kiedy wybawienie było tak blisko? Wystarczyłby jeszcze jeden dzień, najwyżej dwa. On już tu jedzie, mój Prospero... Przyjechałby do mnie spod ziemi, jak Hades na rydwanie zaprzężonym w czarne konie. Spod wody, jak Kapitan, na statku z czerwonymi żaglami. Teraz znajdzie trupa – to było jasne: Raoul de Chagny zabije mnie, a potem siebie. Mój Prospero znajdzie trupa jego Eurydyki...

- Odejdź stąd, Raoul! – krzyknęłam w nieprzeniknioną ciemność. – Zostaw mnie w spokoju. Idź sobie do wszystkich diabłów!!!

Cisza. Gęstniejąca cisza, która zdawała się mnie ogłuszać.

- Raoul, wiem, że to ty. Odezwij się, na miłość Boską! Zabraniam ci straszyć mnie w ten sposób!

Cisza, której nie przerywały nawet świerszcze. Cisza, jak na najgłębszym dnie czarnego oceanu. Łzy przerażenia dusiły mnie w gardle. Mogłabym umrzeć ze strachu. Wszystko we mnie wyrывało się do życia, a stałam na progu śmierci. Umierałam, widząc już przed sobą w oddali wyjście z Tartaru. Eurydyka umierała wciąż od nowa, bo Orfeusz nie zdążył przybyć jej na ratunek... Oparłam się plecami o skałę z różowego granitu, który teraz był tylko absolutnie czarny.

- Kocham go, zrozum to wreszcie – powiedziałam słabo, czując, że opuszczają mnie siły. – Jeśli nawet, tak jak mi od tygodni wmawiasz, on jest Kalibanem, Minotaurem, samym Szatanem - kocham go, Raoul. Nie zmienisz tego nigdy. Zabijesz mnie i siebie, ale tego nie zmienisz...

I wtedy, nie będąc pewna, czy słyszę to naprawdę, czy to tylko moje złudzenie, usłyszałam ten dźwięk, jakby ktoś bardzo cicho grał na skrzypcach. Najcichsze pianissimo. Kilka taktów z arii Nadira z *Poławiaczy Perel* George'a Bizeta... A potem śpiew, a może szept, dochodzący skądś... Nie wiem skąd... Chyba z mojej duszy.

*Jam ten, któregoś w upojeniu  
Wśród ciszy nocnej wysłuchała,  
Czyja myśl żyje w twym marzeniu,  
Czyj żal się żali w twym westchnieniu,  
Czyj obraz we śnie tyś ujrziała.  
Jam ten, kto wzrokiem swym uśmierca  
Nadzieje człowieczego serca,  
Bicz, źródło ziemskich niepokoi,  
Książkę poznania i wichury,  
Jam wróg niebiosów, zło natury -*

*I jestem, widzisz, u nóg twoich!*

*Do ciebie modlę się miłością,  
Modlitwą z modlitw najwznioślejszą,  
Poznaną ziemską namiętnością:  
Cierpieniem pierwszym i łzą pierwszą.  
Błagam, wysłuchaj mnie z litością!  
Zwrócić mnie dobru i niebiosom  
Mogłoby jedno twoje słowo.  
Szatą miłości twej godową  
Okryte myśli me się wzniosą,  
By lśnić na niebie zorzą nową.*

Głos Orfeusza. W ciemności, w ruinach szatańskiego zamczyska, które zbudowała sama Natura, objęły mnie czyjeś silne ręce. Ktoś podniósł mnie do góry, postawił na jakimś kamieniu, którego nie widziałam, tylko wyczuwałam go pod stopami. Przycisnął mnie do siebie wtulając głowę w miejsce, gdzie biło jak szalone moje serce. A potem - nie wiem, nic nie widziałam w tej ciemności – chyba ukląkł przede mną i pocałował moje stopy. Nie mogło mi się zrobić bardziej ciemno przed oczami, bo dookoła był ciemno, że oko wykol. Poczułam, że osuwam się w dół. Nie upadłam, bo czyjeś ramiona chwyciły mnie w locie i delikatnie położyły na trawie. Czyjaś zimna dłoń gładziła mnie lekko po poranionym prawym policzku. Wszystkie imiona pojawiły się w mojej głowie jednocześnie – i jednocześnie zniknęły. Było tylko jedno imię.

- Erik...

- A kogo innego ty się spodziewałaś...?